Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 25. Poznań, dnia 22. Czerwca. 1840.

Literatura zagraniczna.

Szkic literatury dramatycznéj angielskiéj.

(Dokończenie.)

Ale nowa, ważna epoka zeszła na dziejach świata. Z drugiéj strony kanału uderzono we dzwony, godzina rewolucyi francuzkiéj wybiła; rozległy się jéj echa po Albionie, i w skupczałych potomkach Anglosasów ocknął się dawny duch swobody. Naród, jak za czasów Elżbiety, uczuł swoją wielkość i dumę; i kiedy nie zdołał już na scenę wywołać Szekspirów i Spenserów, przynajmniéj smakował w ich dziełach nieśmiertelnych. Czytano je z zapałem, przyjmowano na teatrach z uniesieniem, talenta pisarzy nowych na nich się zaprawiały. Na tych czele stoi Lewis, autor Mnicha, daléj Crabbe, Cowper, późniéj Walter-Scot i Byron. Widać u wszystkich starunek zbudowania nowoczesnego dramatu na modelach wielkich pisarzy XVIgo wieku. Alić starunek tylko. Nie odgadniono sekretu ich wielkości. Geniusz dramatyczny, co mistrzów ożywiał, nie zstąpił na naśladowców; w żadnym z nich duch Szekspira nie powstał z martwych. Dramata Byrona, jak np. jego Sardanapal, pięknie się czytają, lecz na scenie nudzą. To nie są tragedye, ale coś z dityrambu i elegii złożonego, w czém jedna tylko osoba wydatną, a tą jest sam autor. Walter Scot, Coleridge, Lamb i Lewis na tę samą chorują niemoc: brak rzeczywistéj dramatyczności. Milmana Zburzenie Jerozolimy ma bardzo wiele miejsc pięknych; tragedye mistriss Baillie wymownie i gładko są pisane; atoli wystawione na teatrze, ani akcyą interesują, ani zachwycają wielkością charakterów. Bertram Maturina, tyle okrzyczany nawet we Francyi, jest, jak ktoś dowcipnie powiedział, nie dramatem, ale raczéj magazynem puklerzy, mieczów, kajdanów, baszt światłem księżyca oblanych, zwalisk zamkowych, po których kroczą widma i duchy, sali rycerskich zapchanych starym sprzętem, i puścizną postrachu dawnych wieków. Jest to poezya bez głębokości myśli, czcza w sobie, echo odbite o łomy zamczysk, o skały i lochy podziemne. Sheridan Knowles pisze wiele i pisze pięknie; sztuki jego podobają się powszechnie, lecz wyższéj dramatyczności w nich nie ma. Autor był długi czas sam aktorem, najwięcéj mu zatém chodzi o efekt, jaki nie role same, ale odgrywający role sprawić mogą. Przy płodności autorskiéj, połączonéj z łatwością ustrojenia dramatu z lada okoliczności, nie będziemy po nim żądali wzniosłości ni sytuacyi ni pomysłów, lubo widać w nim ku temu zdatność. W Wirginiuszu, w Garbatym i Małżonce upoetyzował dość szczytnie cierpienia i namiętności życia domowego. On też jeden zebrał i zkoncentrował jeszcze w sztukach swoich ostatki sił żywotnich teatru angielskiego. Styl jego pełen słodyczy, ale bez siły; rozkład rzeczy bez jedności; pełno ponadodawanych ustępów, widać na to tylko, aby nastraszyć lub rozrzewnić. W wywołaniu tych uczuć szczególniéj Wordsworth jest mistrzem. Jego też wziął sobie za wzór Sheridan, i choć całość dramatu płaska, pojedyńcze sceny zajmują, rozczulają i działają silnie na wyobraźnią publiczności.

Edward Litton Bulwer, świeżo od królowéj Wiktoryi zaszczycony tytułem baroneta, jest encyklopedycznym geniuszem Anglii; w jednéj osobie historyk, poeta, pisarz romansów, tragedyi i rzeczy politycznych, w parlamencie mówca, trefniś na salonach. Ma bujne pomysły, ale rozchwiane; dużo czytał, ale nie strawił; ani jedności w pojęciu dzieła, ani wykończenia w wykonaniu. Tragedye jego kraszą się raczéj głośném imieniem romansopisarza, autora Pelhama, Eugena Aram, Pawła Clifford, Ostatnich dni w Pompei, niżeli wewnętrzną wartością. Najbardziéj się podoba jego Lady of Lyons, a przecie, jaki tu brak charakterów, jaka niższość od sztuk Szekspirowskich!

W ogólności dramata Bulwera i współczesnych pisarzy, są to romanse wierszowane, podzielone na akty

i sceny. Od Waltera-Scota romans oszołomił wszystkich umysły. W téj stronie literatury otworzyło się nowe obszerne pole sławy autorskiéj. To też wszystko się tam rzuciło, a z romansu dopiero, jak z okruszyn pańskiego stołu żywił się dramat. Takim jest Jon Talfurda, romans zdramatyzowany na całe nieromantycznych greckich uczuciach, i dla tego dwojako chybiający celu; takim Artevelde Taylora, dzieło pracowite i wykończone co do wiersza, ale bez dramatycznéj treści. Do tego stopnia oddalono się w dramatach od dramatyczności, niejako w sztuce od sztuki, że nie tylko sentymentalne, lecz i filozoficzno-mistyczne rozumowania nasnuto na sceniczne podziałki. Tragedya Paracelsus przez pięć aktów przeprowadza rozprawę o naukach nadprzyrodzonych i dążności ducha do ideałów. Inna sztuka tragiczna pod wyszukanym tytułem »Dzień dobry i Bądź zdrów« jest pogadanką o nowinie w dyalogach kwiecistego stylu, rozrzewniających uczuć, co wszystko źle przypada do przedmiotu małéj, prawie żadnéj wagi.

Z istotnéj zatém tragedyi angielskiéj wspaniałego ciała, wspanialszego ducha, pozostał sam szkielet. Nowsi obłoczą go, to w poważny szkarłat królewskiéj szaty, to w togę pożyczoną od Greków lub Rzymian; sztucznym mechanizmem nadają mu ruchy i rzuty; ale któż nie pozna, że to automat? z oczu nie bije blask wielkiéj duszy, z poruszeń nie widać krwi waru, którym kipi serce. Szkielet tylko, i nic jak szkielet. — Sami Anglicy to widzą. Oto tak się o tém wyraża przegląd Edynburgski (Edinburg Rewiew): »Teatr nasz długie przechodzi koleje konania, i snadź do ostatniéj dobieża. Pisarze nasi piszą role, nie sztuki; wszystko poświęcając dla aktorki lub aktora, w modzie będących. W utworach dramatycznych masz albo śmieszną affektacyą, albo przesadę w sentymentalności; to wzdychania bez końca, to pienienie się z wściekłości; a żadnego podobieństwa do prawdy, żadnego wydatnego uchwycenia charakterów. Zwyczajni fabrykanci sztuk teatralnych układają tylko fraszki, albo przerabiają wodewille francuzkie; lepsi robią sobie wzięcie, że się nawzajem chwalą. Za kulisami szukają natchnienia, zamiast, żeby ich przedmiot sam zachwycił, wyższéj poezyi ogniem zapalił, dla tego nie poświeca w ich dziełach żadna myśl wzniosła.«

Przydało się i to, do upadku sceny narodowéj, że wyższe towarzystwa angielskie, przez wstręt nabrany do teatru, coraz mniéj tam uczęszczały. Zepsuty gust pisarzy dramatycznych, mianowicie w komedyach, wychodzący z granic przystojności, połechtujący żądze, gorszący dwuznacznikami, a częstokroć wystawujący występek i ohydę w całéj nagości, zamienił miejsce wyższych duchowych rozkoszy, na schadzkę i zabawę młodzi rozwiozłéj i rozpustnéj, od któréj unikali ludzie nieskażonych obyczajów, ojcowie familii, a i ci nawet, co, choć zepsutego serca, lubili maskować się pozorem cnoty. Owa niesforność i krzyki po parterach i galeryach nie podobały się arystokracyi. Unikała dla tego tak bliskiéj styczności z pospólstwem, a wprowadziwszy zwyczaj późnego obiadowania, całkiem się oderwała od teatru, chociaż tam czasem wystawiano i arcydzieło jakie z dawniejszéj pory. Namnożone kluby, których posiedzenia późno się odbywały, zwabiały mnogość osób na całe wieczory. Tam, w osobnych przedziałach, zbierali się licznie mężowie stanu, publicyści, kupcy, oficerowie, gracze, rzemieślnicy. Po prywatnych domach w modę weszły wieczorne herbaty (téa-party), bale familiarne (rout), na których doskonale się bawiono. W nieprzymuszonych formach rozwijała się tu sztuka dobrze przyjmowanych zalotów płci obojga, bez narażenia się na uchybienie dobremu tonowi. Był czas, że going to the play, to jest: iść na teatr, znaczyło to samo, co iść na wieczorną pohulankę, i uwłóczyłaby honorowi swojemu kobieta uczciwego domu, któraby poszła na widowisko. A był to przecież czas, kiedy zawołana mistriss O'Nocil była wielowładną królową sceny, i ostatnią sławą Szekspirowskiego teatru. Nic zatém dziwnego, że kiedy widowiska były i lichéj wartości, i taka o teatrze opinia, jakby o świątyni Babylońskiéj, w któréj bogini Rozkoszy orgie swoje wyprawiała, — że innych szukano sobie zabaw, albo istotnie, albo przynajmniéj z pozoru godziwszych; a kto ich tam nie najdywał, lub naleść nie chciał, brał romans do ręki i bawił umysł, siadłszy nad ogniem domowego kominka. Tak upośledzona scena narodowa chyliła się do upadku. Starano się ją przywrócić do dawnego znaczenia, parlament nie szczędził na to funduszów, i udało się nawet staraniem znakomitego aktora Macready oczyścić teatr z onych brudów. Czyściéj w teatrze, ale próżno. Wszedłszy do teatru Covent-Garden albo do Drury-Lane, pusto jak w kościele o téj porze; i grać aktorom nie raźno, i słuchaczom patrzeć się nie miło. Do tego sztuka zwykle jakaś sentymentalna, żałośliwa, wzdychająca, rozwlekła, że uciec trzeba z nudów i wstrętu.

Literatura krajowa.

Poezya.

Obrazy z życia i podróży.

(Dokończenie.)

V. *Jak człek, tak wiek,*
Jak ród, tak lud.

O czarnoksiężki młodych lat uroku,
Cóż dziś mężowi za twe cuda stanie?
Za tę nadzieję i za tę łzę w oku?
Za kwiat tych uczuć i za to kochanie? —
Co to za życie, wśród rodzinnéj wioski
Wiek młody spędzać bez trudu i troski,
Ranki w rozmowach z księgą lub z kniejami,
W południe zasiąść z ojcem pod dębami,
A po miesiącu nocą lub wieczorem
Śpiewać piosenki z bracią nad jeziorem,
I lekką myślą iść i śmiałém czołem
Przez pracę wieków i życia zawady,
Rybą, motylem, chmurą czy sokołem,
Bez trwogi, zwłoki, trudu i porady!
Powiastki starych i tych dziejów karty
Wtórzą piosenką tym porannym zorzom,
A umysł stoi jak błękit otwarty
Światłu i wałkom i światom i morzom,
I z ramion niby odrastają skrzydła,
I pierś się śmiało podnosi jak tarcza,
Jak koń stepowy nie zna myśl wędzidła,
Na oddech ledwo powietrza wystarcza,
I prze coś serce w świat obcy daleki,
I coś go ciągnie za góry, za lasy,
Za góry, lasy, za morza, za rzeki,
Bo w dali tylko rozumie zapasy,
A tu w pobliżu choć czasami rzewny,
Tak sobą władnie i taki jest pewny,
I taki lekki, jakby wypadł z ciała,
Sercem wyniosły, jak anioł zwycięstwa,
Niby miecz Boży taka mu myśl śmiała,
A pełen cnoty, rozumu i męstwa.

Lecz choć sokołem od gniazda wystrzeli,
Spuszcza się sępem, co własną pierś krwawi,
I nikt go nie zna, bo w ciszy dnie dławi
I między boleść i trud żywot dzieli. —
Nie puści skargi, choć go życie trudzi,
Nie wyda bolu hart ponure dumy,
Zna co jest miłość, lecz stroni od ludzi
Jak spryt kuglarski mierzną mu rozumy.
Zamknął rachubę z światem i sumieniem,
Oko w badawczym wzroku się wytęża,
Do pracy tylko ramię się napręża,
I ciągnie pług swój z wielkiém natężeniem.
Jedno po czole jeszcze poznać można,
Że się w téj głowie coś pięknego śniło,
Jedno w westchnieniu niby myśl pobożna
Wzniesie na chwilę piersi dawną siłą. —
O gdyby wówczas znów mu anioł Boski
Skrzydła młodości do ramion przyprawił,
Gdyby go zaniósł do rodzinnéj wioski,
Możeby jeszcze i on się poprawił.
Gdyby tym kniejom znów się wyspowiadał,
Domowéj pieśni znowu się pożalił,
Gdyby z tym dębem jak z ojcem pogadał,
Jeszczeby miłość i wiarę ocalił.

A was to dziwi, kiedy naród cały
Choć pieśnią westchnie do młodości swojéj?
I do tych wieków miłości i chwały,
I na myśl ojców swe pieśni postroi?
Z młodu człek wesół, na starość bogaty,
Wiosną to wiosną buja wszelkie kwiecie.
Lecz kto niemądry i podepce kwiaty,
Czyż temu owoc jesienią dojrzeje?
Kwiatem i wiosną są dla ludu dzieje.

Przeszłość jak prorok o przyszłości wróży.
Kto chce przeszłości? — Świat się wstecz nie wraca,
Co mu służyło, to mu dziś nie służy.
Lecz dzieje przodków oto krwawa praca!!!
A kto puściznę dziadów marnotrawi,
I z grobu rusza w Bogu ległe kości,
Jak ptak, co kala gniazdo się osławi,
I miasto życia poczyna wiek czczości.

Duchem przejść trzeba co się sercem żyło,
Użycie trawi, lecz pamięć jest siłą.
A gdy jéj obraz przesnuje się wstęgą,
Przed duszą ludu jest pamięć — potęgą.
Z ducha ma urość to, co ma być dzielnym,
W tym tylko życie, co siła przetrawi,
A gdy się w dziejach duch narodu spławi,
Jak anioł świeci blaskiem nieśmiertelnym.

Nam duszę skąpać w piastowém jeziorze,
Świętym téj ziemi grzechy wyspowiadać,
Nam z mogiłami naddziadów pogadać,
I pieśnią ludu poczcić sądy Boże!

W. P.

Hajdamaka.

Gawęda z rodzinnego podania.

Przy łożu umierającego Nałęcza klęczała zapłakana małżonka i pięcioro drobnych dziatek. Nałęcz w sile jeszcze wieku, powalony chorobą na łoże, w którym krótkiego snu tylko a nie wygody używał; w drżącéj i wychudłéj ręce trzymał zapaloną gromnicę i wlepił omgłałe oczy, to w wizerunek na niéj Chrystusa, to w jasny płomień migający. Szanowny kapłan, przyjąwszy spowiedź i skruchę umierającego — pospieszył

wezwany nieść drugiemu słowo pociechy i zbawienia. — Dziatki bojaźnią przejęte, wpatrywały się w oblicze ojca ukochanego — znędznione wybladłe, płakały, widząc łzy swojéj matki. — Chory wezwał najstarszego syna, pacholę w osmym roku; — drżąc zbliżył się do łoża ojca. — »Janku!« rzekł przerywanym głosem, gdyż mu tchu często brakowało, »gdy dorosniesz, będziesz się opiekował matką i twemi siostrami — ty jeden tylko — powinieneś mieć odwagę — patrz, to wszystko słabe — jak małe pisklęta w gnieździe. Wszystko, com posiadał, zbroje, konie i szaty moje, tobieć oddaję — a teraz zbliż się....« I położył rękę na jego głowie: »Błogosławię cię, synu mój jedyny — niech Bóg zlewa wszystko dobre na ciebie, matkę i całą rodzinę — a strzeżcie się pilno hajdamaków, bo już was ta dłoń nieobroni.« Ledwie tych słów domówił, chciał unieść rękę, ale z martwéj ręki gromnica wypadła — zgasła — zgasło i życie Nałęcza.

Kiedy rozpaczającą małżonkę oderwano od zwłok martwych, zatętnił podwórzec, i pan Maciéj, brat nieboszczyka stanął w progu komnaty. — »Już go niema — niema mego Jakuba miłego!« wołała nieszczęśliwa wdowa, a pan Maciéj ztarł z wąsów szpakowatych łzę nie jednę słoną i gorzką. »Stań się święta jego wola!« rzekł boleśnym głosem, a zbliżywszy się do łoża, gdzie zwłoki leżały, zapalił upuszczoną gromnicę i zaświecił nad trupem: »Miły Boże!« mówił żałośnie, »takiż tobie bracie mój przyszedł koniec, że na łożu jako białogłowa trwoźliwa skończyłeś. A słuchając naszych dumek, pragnąłeś by w stepie mogiła cię pokryła, by miasto płaczu w izbie wilcy zawyli i kruk zakrakał. Czegoś się bał, toć cię spotkało — niesławna śmierć na pościeli — i tak długo w niemocy leżeć. — Jakżesz ta silna dłoń ci wychudła, tą coś tak dzielnie kopiją i szablą władał! Ale wyroki twoje nieodgadnione, mój Boże!« I ukląkł przy łożu, odmówił cichą modlitwę, i powstał, aby pocieszyć sieroty i wdowę.

Pan Marek, daleki pokrewniak pani Nałęczowéj, człowiek wiekowy, opowiadał mu o całéj chorobie zmarłego i ostatnich słowach umierającego do syna. — »Jako!« zawołał pan Maciéj, »to ś. p. pan brat jeszcze się trwożył hajdamakami, i w ostatniéj godzinie żywota.« — »Tak jest, mościwy panie, bo już z nimi nieraz miał gorącą łaźnię — a naprzód przed rokiem było to jakoś w późnéj jesieni, gdy wcześnie ostrzeżony przygotował się na ich przyjęcie. — Czeladź i domownicy uzbrojeni czekali — mnie przeznaczył, abym w las do znajoméj kryjówki odprowadził panię z dziećmi; dopełniłem zlecenia, i wróciłem z nabitym siekońcami szturmakiem. W pół godziny 50 konnych hajdamaków wpadło na dziedziniec, z dowódzcą najstraszniejszym, bo chłopisko półtory głowy nad wszystkich — straszliwy z opuszczonym wąsem na piersi i iskrzącym zakrwawionym wzrokiem. Było nas w dworze piętnastu z pacholikami, każdy zajął przeznaczone miejsce — ja jakemś przeczuciem ukryłem się w nyszy, co wprost drzwi głównych była. — Hajdamacy pewni, że śpią wszyscy, rzucili się z koni i drzwi z zawias wyważyli — sypnęli do nich ognia — ale chociaż padło kilku, reszta wściekle szła naprzód. Wonczas straciwszy dwóch czeladzi i pacholika ś. p. pan Jakub cofnął się z resztą do izby bocznéj — chciał drzwi zatarasować, aleć nie zdołał. Wtedy rozpoczęła się bójka pojedyńcza. O! byliby zaprawdę wszyscy zginęli, żeby nie mój szturmak, — bo kiedy się tam rwali z sobą na ręce, reszta hajdamaków, a byłoć weszło dwudziestu, poczęła przez drzwi wywalone pchać się. Wonczas do siekańców wpuściłem dwie kule potarte o skaplerz — i wymierzyłem. Jak plunę, tak zagrzmiało jakoby ze szmigownicy szwedzkiéj i siedmiu hajdamaków plackiem padło na progu, a reszta uciekła na podwórze. Rozbiłem co rychléj — gdy na huk ten przerażeni rozbójnicy, co już do izby wpadli, poczęli się cofać. Plunąłem raz drugi, i rozbiłem całą czeredę, — aleć to niewiele s. p. panu Jakubowi pomogło, gdyż on straszny dowódzca hajdamaków niedał mu spoczynku i począł go dusić. Opatrznością Bożą strach jakiś padł na tego wielkoluda po drugim wystrzale szturmaka, puścił leżącego na ziemi pana Jakuba, i wyszedł za swemi. Wprawdzież pochwyciłem go na cel mojéj kryjówki, ale jakem spojrzał w jego ślepie, strzelba omal mi z rąk nie wyleciała. Odtąd to s. p. pan Jakub poczuł niemoc leżał tydzień cały, krwią spluwał. Już mu niesmakowały łowy na grubego zwierza — konie wierzchowe rzały w stajni daremnie, nie miał kto na nich przejechać, jako dawniéj, gdy po stepie z ptakami biegł na wygon. Łuk, strzelba i szabla prochem się okryły, a on tęschnił ciągle. Wyjechał do puszcze, to zaraz wracał do dworu, — ledwie wszedł do izby, znowu mu duszno było. Tak długo bywało, aż w ostatku, jak się położył, już więcéj nie wstał z łoża: pamiętał więc dobrze hajdamaków, i niedziwota, że w ostatniéj godzinie swemu Jankowi o nich mu prawił. Ten piekielny hajdamaka pozbawił go żywota — a ja nie mogłem się pomścić, musiałem być za prawdę przezeń oczarowany — alboli też tuman na oczy mi puścił.« — Pan Maciéj słuchał starego krewniaka uważnie, a gdy skończył, wyrzekł: »Jadąc słyszałem o bandzie hajdamaków, co się zjawić miała w sąsiednim lesie przy stepach — już kilka dworów poblizkich złupili.« Wymówił to ciszéj, aby zapłakana

nie słyszała wdowa. — »Święty Marku, mój patronie!« wykrzyknął pan Marek, »i waszmość pan dopiero nam o tém mówisz, a onić wpaść mogą dzisiejszéj nocy, gdyż się dowiedzą, że pan Jakub Bogu ducha oddał!« — »Co gadacie? czy byćby to mogło?« rzekł zadziwiony pan Maciéj. — »To jak amen w pacierzu, że jeżeli nie dziś, to jutro zobaczym gości. Moja rada,« prawił z cicha do ucha panu Maciejowi, »wyprawić ztąd wcześnie panią z dziećmi — już ja ich bezpiecznie ulokuje. Pogrzeb przyspieszyć, a samym czekać, co Bóg zdarzy.« — »A wieleż macie czeladzi?« — »Owoż przepomniałem, mościwy panie,« oddychając wolniéj odrzekł pan Marek, »że i połowy niemamy tego, co bywało. Strzelcy, jak pan zachorzał, poszli w inną służbę — dwóch czeladzi i pacholika wonczas hajdamacy zabili — dwóch chorych, — niezostało jak sześciu jeno, czy siedmiu wszystkiego, a na tych pomoc niewiele liczyć można.« — »Gdybym miał z mojéj chorągwi sześciu towarzyszów, sprawiłbym tu tym hultajom gorące wesele!« zawołał z zapałem pan Maciéj, »każdy z nich pamiętałby z ruski miesiąc — ale z temi trudna obrona dworu, gdzie tyle okien i drzwi niemało: bronisz jednych, to drugimi wlazą i za kark wyciągną.« — »Oj, co prawda, to nie grzech, ale cóż robić?« — »Bóg wielki i jego opatrzność święta. Waszeć panie Marku każ zwłoki mego brata do kościoła wynieść za dnia, a gdy się zmierzchnie, wyprowadzisz panią bratowę z dziećmi i droższemi sprzęty do znajoméj kryjówki; zabierz wszystkę czeladź z sobą, uzbroj dobrze, a mnie zostaw z moim pacholikiem we dworze.« — »Jako samego jeno?« zapytał zdziwiony Marek. — »To broń najlepsza!« odpowiedział pan Maciéj, dobywając dzidę staroświecką z za szafy, »jeno trzeba ją poostrzyć.« — »Ja waszmości pana samego mam zostawić?« powtórzył znowu, »nie, tego nie zrobię.« — »Tak chcę, i tak być musi!« odrzekł z gniewem pan Maciéj, »czyż niedosyć dla mnie, że mam zdrowe ręce, kawałek siły, serce niezajęcze, przy opatrzności boskiéj?« — Uchylił głowy Marek na ostatnie słowa, i uskutecznił wszystko wedle polecenia.

Gdy zmrok zapadł, już tylko sam był pan Maciéj we dworze ze swoim pacholikiem. — Kazał więc mu dobrze drzwi pozamykać, światło zagasić, — sam zdjąwszy żupan, został tylko w spodniach i kaftanie łosim. Nóż potężny ukrywszy za cholewę, uzbrojony dzidą, poszedł do ostatniéj małéj alkowy, i tam oczekiwał, co Bóg zdarzy.

O północy zagrzmiał dziedziniec od licznych jezdzców. Pan Maciéj słyszał, jak drzwi jedne po drugich wyłamane upadają. Wyjrzał nieznacznie i ujrzał olbrzyma, co szedł naprzód: poznał, że musi być ten sam, co stał się przyczyną śmierci brata Jakóba. Pomodlił się z cicha, prosząc Boga o pomoc, aby się na nim mógł pomścić. Hajdamaka znalazłszy pusty dworzec, przeszedł wszystkie izby, już miał wychodzić, gdy dojrzał za piecem drżącego pacholika pana Macieja. Porwał go za kark, a gdy go pociągnął przez plecy nahajką, pytając gdzie pan, strwożony pachołek ukazał alkowę, kędy się pan Maciéj ukrył. Wonczas poskoczył tam hajdamaka, i już miał próg przestąpić, gdy uczuł silnie dzidą pchnięcie. Rzuca się więc naprzód; — pan Maciéj widzi, że mu w żywocie ugrzęzła broń jedyna, a hajdamak jakby nie czuł, porywa go w silne dłonie, przyciska do ziemi, aż ukląkł zgnieciony. Krew mu uderzyła do głowy — gdy przypomina sobie o nożu za cholewą, — dobywa go, z ostatnią siłą ugadza hajdamakę w piersi. Zachwiał się olbrzym, i na wznak pada. — Zwycięzca zaczyna wołać liczną po imieniu czeladź, kiedy strwożeni śmiercią wodza hajdamacy zaczynają się z obawą cofać z dworu; nagle z sieni zagrzmiało kilka wystrzałów, a jeden gorował nad wszystkimi, był to strzał ze szturmaka Marka poczciwego; hajdamacy uciekają, zostawując kilka koni. Pan Maciéj wtedy nogą nastąpiwszy na piersi rannego śmiertelnie olbrzyma, który począł silnie oddychać, z podniesionym nożem patrzał na poruszenie każde jego, aby nowym ciosem uwolnić okolicę całą od klęski, gdy Marek z latarką w jednéj, a szturmakiem w drugiéj ręce nadbiegł. Gdy ujrzał hajdamakę leżącego we krwi, cofnął się przerażony, — latarnie postawił na stole, wymierzając szturmak.

»Bóg wielki i jego opatrzność święta!« wyrzekł pan Maciéj, »Bóg mi dodał siły, pomściłem się śmierci brata — a jutro, gdy uczcim zwłoki należnym pogrzebem, spać już we dworze spokojnie wszyscy będą.« — »Tak, to ten sam!« zawołał Marek, »patrz te oczy krwiste, błyszczące, jak okropnie przewrócił!« — i kopnął go nogą — a hajdamaka raz jęknął i zamknął oczy na zawsze.

Wtedy pan Maciéj kazał drzwi powstawiać — sprowadzono wdowę z dziećmi — i odtąd okolica cała długo używała spokoju. *K. Wł. Wójcicki.*

Rzut oka w domowe życie kilku z dawnych pisarzów naszych.

(Dalszy ciąg.)

Stan jego przed Kochanowskim nie dozwala przypuścić nawet, aby z tych pieluch miał się prędko wywinąć i stać się nagle zdatnym do użycia poecie, histo-

rykom, moralistom. W początkach XVI. wieku w 1520. roku, kiedy pierwsza książka polska wychodzi, możnaż się domyślać, że w kilku dziesiąt lat ten język stanie na stopniu, z którego już tylko potém spadać będzie? Tak było wszakże. Prosim o przebaczenie zbyt obszernego wykładu, lecz mimowoli porwały nas i uniosły myśli. Wróćmy więc do życia Kochanowskiego.

Urodził się on w r. 1532. szlachcicem, z niebogatéj rodziny, obciążonéj dziećmi, gdyż sześciu ich było braci. Wedle zwyczaju, który u nas od tak dawna konieczność wprowadziła, za tylą innemi, udał się i on po pierwszych elementarnych nauk początkach, szukać udoskonalenia za granicą — i jak ów sławny Stanisław Szczepanowski z Niemiec dążył do głośnéj Sorbony. Tu lat siedem uczył się filozofii, języków i literatury starożytnéj, i tu także, jak sądzę pisać już musiał pierwsze swoje wiersze łacińskie i polskie, bo z nich jedne przysłane do Polski uprzedziły go i wczesną mu sławę zjednały.

— »na jednym zjeździe w Sendomirskiéj ziemi (pisze Kasper Miaskowski w Herkul. Słowiańskim, Dobromil. 1612. przemowa) gdzie przyjaciele Jana Kochanowskiego, natenczas w Paryżu na nauce będącego ukazali gościom tamecznym, pieśń od niego posłaną, któréj jest początek:

Czego chcesz po nas panie, za twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół cię nie ogarnie, wszędy pełno ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i niebie!
(Ks. II. P. IX.)

Był też tam Mikołaj Rej, którego naród nasz (pisze daléj tenże) ma mieć w téj cenie, jako Grekowie Hesioda, Rzymianie Enniusza, bo ci trzéj narodom swym drogę do nauk (?) pokazali. Wziął tedy Rej tę pieśń Kochanowskiego i pilnie onéj przypatrzywszy się, zawołał tamtych wszystkich gości i powiedziawszy nieco o swoich pracach i naukach, wiele dowcip i wymowę Kochanowskiego chwaląc, zawołał, mowę swą temi wierszami kończąc:

Temu w nauce dank przed sobą dawam,
I pieśń Bogini słowiańskiéj oddawam.

Jak Rej przy dowcipie i nauce sławę jeszcze dobrotliwości wielką otrzymał, która dotąd powieściami, a odtąd pismem wiekopomném niech ustanie.« Póty cytowany autor. Rej wszakże, którego współcześni tak wysoko wynosili, nie mógł się pod żadnym względem mierzyć z nauką Kochanowskiego i gładkością a wyrobieniem jego poezyi. Przepędziwszy bowiem prawie całe życie na swawoli, późno i niedoskonale poznał owczesny wzór powszechny — literaturę łacińską, przejął język ludu gruby, jędrny, silny lecz niewykształcony, a choć więcéj w pismach swych ma życia, mniéj wytworu i sztuki. On wziął język jakim był, Kochanowski stworzył z wziętego nowy. Rej ma zasługę z myśli wielu, Kochanowski z wyrobienia; w pierwszym badamy śladów dawnéj prostéj mowy polskiéj i obyczajów starych, w drugim uwielbiamy posłuszne mistrzowskiéj ręce, nowe przejawienie języka, któren od razu stanął doskonałym.

Z Paryża Jan Kochanowski udał się do Włoch, gdzie, zwiedziwszy sławniejsze akademie, kilka lat w Rzymie i Padwie przepędził. Tu on zabrał znajomość i przyjaźń z uczonymi Robertelet i Manucyuszem, zjechał się z towarzyszami krajowcami, jak on dla nauki lub pod jéj pozorem podróżującymi, Jędrzejem Patrycyuszem, Stanisławem Fogelswerkiem i Łukaszem Górnickim, późniéj sławnym publicystą, historykiem, moralistą. (Pisze Bohomolec w życiu Kochanowskiego, że tu także poznał Jana Zamojskiego, lecz porównawszy to z tém, co w Herkulesie słow. czytam, widzę, że J. Zamojski już był w kraju, gdy Kochanowski jeszcze był w Paryżu, zatém go już na rektorstwie zastać nie mógł.)

Powróciwszy do kraju razem z Górnickim, wzięty został przez Filipa Padniewskiego, kanclerza koronnego, (źle pisze Bohomolec, biskup krakowski i kanlerz, gdyż został dopiero biskupem, złożywszy pieczęć, Górnicki Most. 281.) który jak Kochanowski w obcych krajach i na obcych dworach Karola i Ferdynanda młodość spędziwszy, żołnierz, potem duchowny talentem doszedł do tak wysokiéj godności. (Monum. Sarmat. 75.) Że wówczas ów język powszechny, nie tylko uczonych i literatury, lecz dyplomatyki i dworów był językiem, a wszelkie większéj wagi pisma po łacinie redagowane być musiały, — Kochanowski, który, jak się z jego dzieł w tym języku pisanych okazuje, niepospolitym był łacinnikiem — tak się zdatnym i użytecznym okazał, że gdy go późniéj jednym z swych sekretarzy uczynił Zygmunt August, do kilku poselstw użyty został. Stał więc na drodze, którą Maciejowski, Padnieski i tylu innych do najwyższych doszło godności. W tym zapewne zamiarze łatwiejszego wzniesienia Padniewski zaczął go gwałtownie do duchowego stanu namawiać. Ale Kochanowski nie dał sobie tego wmówić, świadek tylu sporów za granicą, tylu nadużyć duchowieństwa, sam, może przez to, dość nieprzyjaźny księżom, jak się z niektórych jego pokazuje ucinków, nie odważył się wstąpić do tego stanu, którego nie miał ducha, a może czując, że jego przyszłe obowiązki czas mu odejmą i natchnieniu inny popęd dadzą, nie chciał

się krępować. Myszkowski, następny biskup Krakowski, równie umiejący go cenić, który także z sekretarza na podkanclerzego, a z tego miejsca na biskupstwo Krakowskie podniesiony został — chciał też Kochanowskiemu podać rękę, i za pierwszy środek podawał przyjęcie sukni duchownéj, do czego, aby łatwiéj skusić poetę, puścił mu probostwo Poznańskie i innych kilka prebend, zapewne w nadziei, że się przekonać zechce, i księdzem zostanie. Gdy się jednak Myszkowski od dworu i spraw publicznych uchylił, za nim zaraz i Kochanowski, wzdychający do swobody, wsi i odetchnienia, mimo nalegań króla, który mu jurgielt (1200 złt.) ze swego skarbu naznaczył, prelatur dał kilka, i Sieciechowskim opatem obrać zalecił — pomimo tego wszystkiego, wszystkich tych dochodów i godności odstąpiwszy, usunął się nasz poeta na wieś, do ulubionego Czarnolesia, i tam się z Hanną Podlodowską ożenił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

***Powieści wielkopolskie**, przez R. W. Berwińskiego.* Tom I. W Wrocławiu. 1840.

(Godło: *Kniga ide od ruku do ruku. Pa tje dotje u pogane ruku.* — Przypis *»Przyjaciołom i braci pokrewnéj w nadziejach.*)

Powieści te — praca pierwsza utalentowanego młodego poety — z tylu względów zasługują na powszechną uwagę, że pewni jesteśmy, iż przyjemnie czytelnikom naszym będzie, obszerne mieć sprawozdanie o nich. Zresztą dzieło wielkopolskiego pisarza jest zawsze jeszcze w literaturze naszéj tak *rara avis*, iż gdyby nawet dzieło niniejsze nie było w swym rodzaju tak wyborne, jak jest w istocie, jednak już dla tego, że wielkopolskiego autora, na szczególniejszą uwagę zasługiwałoby.

Nim do uwag nad dziełem całém i w ogóle nad stanem literatury w prowincyi naszéj przystąpimy, przejdźmy w krótkości pierwszą powieść »Bogunka na Gople.«

Po krótkim wstępie, w którym poeta wzywa czytelnika, aby z nim spieszył do tego kraju,

gdzie ziemia krwią ojców zlana,
życiem kupiona, kośćmi zasiana,
męskie ich cnoty pamięta,

aby

wśród broni szczęku, wśród bitew wrzawy,
wśród pieśni dawnéj wielkości sławy,
o przyszłych losach zamarzyć,

prowadzi nas autor nad brzeg Gopla. Wstęp ten do powieści tak piękny, że go udzielamy żywcem czytelnikom.

O Gopło — woła autor — Gopło, z pomiędzy wód naszych jedyne, wspaniałe, kolebko i grobie słowiańskiéj przeszłości, jakże się z tobą powitać, jakimże językiem przemówić do ciebie. Ileż to dźwięków różnorodnych przelatywało nad tobą, bez śladu, bez echa. Czyż i mój głos przepłynie po fali wód twoich, jako te dni blasku i świetności, które ciebie otaczały niegdyś, a z których dzisiaj została tylko bajka usypiająca rozkwilone dzieci. Stoję na brzegach twoich obnażonych, odartych z kwiatu swobody, podobien majtkowi wyrzuconemu na ziemię obcą, co marzy o szczęśliwszéj, o dalekiéj matce. Czyż ją kiedy obaczę? Podobien majtkowi, buduję ze szczątków rozbitego okrętu łodkę nadziei i puszczam się w niéj na twój grzbiet nieugięty, niejarzmiony nigdy, zawsze wolny, aby o wolności zadumać. Wicher nawalnicy, który po nad tobą przewiewa, szum burzy, która fałduje twój wał posuwisty, krzyk puszczyka, który osiadł na szczątkach królewskiego gmachu, może natchnie pierś moją; z popiołów zmarléj wielkości może odgrzebię iskrę nowego życia; z powoju i bluszczu osłaniającego ruiny dawnéj świetności może uwiję wieniec tryumfalny na skroń przyszłych bohaterów.

* * *

Wypłynąłem . . . Ogarniam cię w całéj okazałości, o ziemio moja rodzinna, widzę cię z nędzą i z groby twojemi. W nich stara sława twoja i potęga spoczywa, ona cię opuściła w chwili utrapienia, przeniewierzyła się matce swojéj; aleć ty, o ziemio nasza wierna, pozostała swym dzieciom, żywisz i pielęgnujesz je. Tyś zawsze niezmienna, ta sama! Piękną byłaś w szacie godowéj, w czasie wesela synów twych . . . piękniejszą stokroć, boś nieszczęśliwą jest dzisiaj.

* * *

Widziałem raz niewiastę w orszaku pogrzebnym, w szatach żałobnych idącą, z rozpuszczonym włosem, z bladém licem, ze łzawą powieką, za trumną synów, którzy jak pomarli — nie wiem.

* * *

Dzisiaj oglądam ciebie w całéj głębokości smutku twojego. Żadna zasłona nie kryje przed okiem mojém twojego oblicza zroszonego łzami. Przejrzę cię od końca do końca, boś ty równa, o ziemio moja, jak są równi ci, którzy cię zamieszkują. Na twoich też tylko równinach równość pojętą być może.

* * *

Góry podnoszące ku niebu ośnieżone czoła, których nigdy stopa ludzka nie zdeptała, podobne są dumie, która ucieka w obłoki a u stóp swoich zostawia cierpienia, łzy i niedolę. Na ich szczycie orzeł się gnieździ i szykuje w niedościgłe wysokości po sławę, a po żer tylko wraca w doliny na udręczenie słabszych.

* * *

Na was o równiny méj ziemi, równo się cierpi, równo płacze! Smutna nuta boleśnéj piosnki brzmi daleko po rosie na płaszczyznie waszéj, nie wstrzyma jéj ani odbije bryła skał opoczysta, ale ją złowi tkliwe ucho słuchacza, a serce wespół czujące echem odpowie.

* * *

Błogosławioną bądź, o ziemio obiecana, choć nieszczęśliwa, piękna, chociaż odarta z blasku dawnego i chwały. — Smutny jest prawda widok twój; smutny widok tylu chat nędzy — tylu szczątków zbytku — tylu pamiątek szczęścia.

* * *

Przeszłość, obecność! Oto grzech Adamowy, a oto pokuta Izraela. Wszystko smutne, nawet ta wieża samotna, która z grobu wieków niezgięte podnosi czoło i nieśmiertelności wola. A jest to wieża Babel. — Ci, co ją budowali, w rozproszeniu są na wszystkie strony świata i pomięszane języki ich nie rozumieją się — jedni wołają wolność, a drudzy zdrada, — ci chcą żelaza — ci złota.

* * *

Smutny to zaiste widok upadku! Jest wszakże potęga wyobraźni, która ten smutek rozjaśnia, która pustynie życiem i blaskiem napełnia, jak napełnia niebiosa aniołami i szczęściem. Ona odmłodzi kwiat swobody, który nam przedwcześnie uwiądł na niwie przeznaczenia. Zapełni szczerbę, która czas w naszéi przeszłości wyłamał, podźwignie ołtarze sławy, które czas zniszczył i roznieci na nich nieśmiertelny ogień nadziei.

* * *

Szczęśliwy, kto na jéj skrzydłach obleci przestrzeń wód twoich o Goplo — — —

Poeta pozwala nam spojrzyć w głąb Gopla w ten grób Bogów, Bogów »przed którymi korzył się lud, lud wielki, potężny, i na twarz upadał;« a dziś czoła ich w błoto zagręzły, a gad wodny wije się u stóp ich i pełza.

* * *

O wszechwładny tyranie, którego czasem nazwano, który unieśmiertelniasz śmiertelnych, a Bogów potrącasz w otchłań niepamięci, któryś mściwy i dobroczynny zarazem; do ciebie głos mój młodzieńczy z piersi karmionéj nadzieją i wiarą podnoszę. W twoim ręku skarb szczęścia niewyczerpany, a my ubodzy uciśnieni nędzą prześladowania, o jeden tylko klejnot błagamy ciebie, o klejnot, któregośmy na południu i na zachodzie i za morzami szukali: o podaj nam co prędzéj nienaruszony, niepokalany, złożymy go kiedyś na ołtarzach twoich.

* * *

Przyjdzie czas zmartwychwstania — ale nie dla was Bogowie upadli!«

A jednak poeta nasz chciałby ich wskrzesić, chciałby wskrzesić bożka pogodę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Nowe świadectwo o Czeskiém pochodzeniu Jana Gutenberga.

(»Kwjety« Nr. 19. z dnia 7. Kwietnia 1840.)

W tych dniach prawie zdarzyło się nam do ręki wziąść książkę (w 4ce) pod napisem: »Das Jetzt-lebende Königreich Böhmen. In einer Historisch- und Geographischen Beschreibung vorgestellet (etc.) Franckfurt und Leipzig. Bey Johann Ziegern. Anno 1712.« Stoi tam na stronie 71. następujący napis: »*Praga caput Regni vallo tres circuit Urbes. Semper Pilsna tenax fidei Regique, Deoque. Cutna dat argentum praeclara authore typorum.*« A następnie na str. 104. i 105., gdzie o Kutnéj-Horze mowa, znajdujemy: »Kuttenberg, Cutna Hora. Ist eine ziemlich große, wohlerbaute, volckreiche, Königliche freye Berg-Stadt im Czaslauer Creis. Allda ist zu sehen die Kirche zu S. Jacob, absonderlich aber die überaus schöne S. Barbarae-Kirchen, neben welcher die Jesuiter ihr Collegium, Gymnasium und Seminarium haben. Die Stadt hat viel Berg-Knappen. Der Berg herum, wie auch die Stadt selbst, ist fast untergraben. Hie seynd Berg-Schachten über 200 Klafter tieff, aus welchen viel hundert Centner Silber-Aertz erhoben worden. Die Stadt schlägt eine Kayserliche Königliche Müntz. Dieses Berwerg ist vielmal eine Ursach und Gelegenheit vieler Kriege gewesen, da es die Ungarn und Teutschen, um das Silber zu haben, öfters zu besuchen getrachtet. Anno 1440 hat Joannes Kuttenbergicus von da gebürtig, zu Maynß die Buchdruckerey erfunden.« Aby te kilka rozrzuconych śladów co do rodu Gutenberga udowodnić, należałoby, ażeby jaki uczony Czeski zajął się w tym celu poszukiwaniami i nietknięte dotąd Archiwa Kutnohorskie przejrzał i miejscowe wiadomości pozbierał. Żądać tego (jak autor niniejszego doniesienia) od mieszkańców Kutnéj-góry, byłoby może czekać na pieczone gołąbki.

W tych dniach wyszedł w Wrocławiu przekład pieśni czeskich Czelakowskiego przez znanego zaszczytnie mianowicie naszym czytelnikom A. Szukiewicza. Przekład ten odznacza się szczególnie wierném oddaniem oryginału. Może szanowny tłumacz zajmie się także przekładem ruskich pieśni tegoż autora, które bez wątpienia daleko więcéj wartości mają, aniżeli pieśni czeskie Czelakowskiego.

Nasz Chopin wyjeżdża i tego roku z panią Dudevant do Hiszpanii. Trudnoby było wyrzec, czy Chopinowi p. Dudevant, czy pani Dudevant Chopina pozazdrościć.

Mund wydał nowe dzieło: Völkerschau auf Reisen, którego przegląd w najbliższym numerze damy czytelnikom; mianowicie szczegóły tyczące się pobytu jego w Krakowie są nader zajmujące.

Pan Emil Brachvogel przełożył na język niemiecki Agay-Hana. Dzieło to wyszło w tych dniach w Lipsku. Tłómaczenie wierne i piękne, wydanie ozdobne. Życzymy z serca, aby dobre przyjęcie, jakie piękny ten przekład znajdzie, zachęciło szanownego młodego tłómacza do obznajmienia i z innemi naszemi dziełami beletrystycznemi ziomków swoich.

PROGRAM KONCERTU

mającego być danym w Poznaniu dnia 30. b. m. jest następujący:

1) Owertura. 2) Arya z opery »*I due illustri Rivali*« *(Quel celeste tuo sembiante)* przez Mercandantego. 3) Pierwsze solo i Romanca z koncertu E-moll Chopina. 4) Spiew pazia z Hugenotów Mayerbeera. 5) Fantazya na polskie pieśni z orkiestrą przez Chopina. 6) Spiew na głos męski. 7) Etude Henzelta. 8) Dywertissement Lipińskiego »Wspomnienie morza baltyckiego.« 9) Duet z opery Torquato Tasso Donizettego z orkiestrą.

Doniesienie.

Przy końcu półrocza uprasza się szanownych Prenumeratorów, którzy w półrocznéj racie prenumeratę złożyli, o wczesne złożenie przedpłaty na kr. pocztamtach na przyszłe półrocze; w przeciwnym razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali. — Ryciny należące się do tego półrocza dodane będą w przyszłym; skoro tylko zamówione wizerunki w miejsce Czaykowskiego, którego nadesłany nam z Paryża wizerunek, z różnych przyczyn nie możemy dołączyć, nadejdą.

Redakcya Tyg. lit.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*